

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

STRZEMIENICZYK, TOM
DRUGI

Józef Kraszewski

Strzemieńczyk, tom drugi

«Public Domain»

Kraszewski J.

Strzemieńczyk, tom drugi / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Tom II	5
I	5
II	15
III	25
Конец ознакомительного фрагмента.	29

Józef Ignacy Kraszewski

Strzemieńczyk, tom drugi

Tom II

I

Wróciwszy z nieszczęśliwej swej wyprawy, z goryczą i niesmakiem w duszy Grzegorz z Sanoka, potrzebując spoczynku, na czas jakiś zamknął się w swej komorze na zamku, jak najmniej pokazując na dworze...

Unikał królowej, wiedząc, że dla niej był przykrem przypomnieniem nadaremnych zabiegów, do których teraz się nawet przyznać nie chciała.

Wiedziała dobrze, iż Grzegorz jej nie zdradzi, a pomimo ufności w nim, spoglądała na niego z jakąś niechęcią, jak gdyby on zawinił w sprawie. Świadek ten długo jej zawadzał tak, że spostrzegłszy go, odwracała oczy i niechętnie go widziała.

Wstydziła się teraz ochłonawszy, tego potwornego związku, któremu syna gotową była poświęcić.

Grzegorz czując, iż Sonka nie odbołała jeszcze doznanego zawodu, nie narzucał się wcale, przychodził rzadko, stawał zdaleka. Ale król, który go lubił i nawykł do niego, chociaż z nim w wielu się rzeczach nie zgadzali, dopominał się o mistrza swego i powoływał do siebie.

Z rozmów z nim, przekonał się Grzegorz, iż o zмовie z cesarzową, matka młodego Władysława nie zawiadomiła za wcześnie, oczekując, aby ona przyjść mogła do skutku. To tylko jedno wpajała królowa w syna, iż królewskie sojusze i małżeństwa, nic innego nie mogą i nie powinny mieć na względzie, nad wzmożenie sił państwa i pozyskanie potęgi.

Przekonanie to młodego pana, nie śmiejąc mu się wprost sprzeciwiać, mistrz starał się zachwiać dowodami, że zbytnia pożądlivość władzy i podbojów, często państwa i panujących o straty i ofiary przyprawia.

Lecz trudno było walczyć z tem, co niemal z mlekiem wyssał Władysław, marzący jak matka o królestwach jakichś, nad którymi miał panować...

Nielaska w jaką chwilowo popadł Grzegorz z Sanoka, nie trwała długo; skromne zachowanie się jego, zupełny brak ambicji, życie ustronne, stałość przekonań, dająca miarę człowieka, przywróciły mu wprędce życzliwość Sonki.

Nie mówiła z nim tylko nigdy o poselstwie ostatniem, najmniejszym słowem nie wspomniała o niem nigdy.

Biedrzyk, który był tak zniknął w Znaimie, że się należało domyślać, iż go kara jakaś spotkała, w kilka miesięcy potem zjawił się znowu w Krakowie i przyszedł pozdrowić dawnego towarzysza podróży.

Niepowodzenie, jakiego doznał, wcale się nie zdawało wpływać na jego humor i usposobienia. Nie mówił wprawdzie, co teraz poczynił, z czem przybywał, lecz łącznie się było domyślać, że przyjaźne Polsce i królowej stronnictwo w Czechach, on podtrzymywał i nie dawał mu się rozproszyć. W rozmowie, zresztą nie zbyt otwartej, pół gębkiem, dawał do zrozumienia Grzegorzowi, że w Czechach zawsze myślano o jednym z synów Jagiełły...

Mistrz nie dawał się temi nadziejami upoić, nie był on za tem szukaniem cudzych Bogów, nie sprzeciwiał się, milczał.

Po niejakiem czasie królowa Sonka, zbliżać się zaczęła do Grzegorza i używać go do mniejszych posług, dając skazówki, co miał synowi wpajać i jak nim kierować...

Lecz wszystko, co go tu otaczało, nie smakowało mistrzowi, który, gdyby nie wdzięczność i nie nadzieja, że może młodemu królowi być użytecznym, radby był dwór całkiem porzucił. Starczyłoby mu probostwo w Wieliczce i ulubione książki.

Niełatwo jednak raz wszedłszy w to życie, które nakłada kajdany, uwolnić się od niego.

Król nie byłby odpuścił Grzegorza, a królowa ani mówić o tem nie dawała.

To co inni zyskiwali pochlebstwem, on zdobywał prawdomównością, szanowano go i wiedziano, że na nim polegać można.

Jedyną pociechą w tych czasach było odwiedzanie starych przyjaciół Balcerów i Frączkowej.

Tu mu także nie zupełnie szło po myśli. W mieście stłumiona jeszcze jakimś względami, gotowała się walka, w którą Balcerowie mogli być wciągnięci. Kupcy niektórzy, Żupnik krakowski Mikołaj Serafin, radzca Graszar, Wink i stary Balcer, obwiniani byli o bicie i puszczanie w obieg monety, która wartości jej nadawanej nie miała. Narzucano ją miastu, a biedniejsi potem narażeni byli na straty, bo jej poza granicą nie brano całkiem lub daleko gorszą ceną.

Obwiniano Serafina, Graszara i Balcera, że tą monetą złą frymarczyli, miasto nią zalewali i ubogich ludzi krzywdzili.

W samem mieście dwa się już zarysowywały obozy przeciwne, z których jeden bronił monety swej, drugi się przeciw niej burzył.

Po kilkakroć przychodziło do starć ostrych na Ratuszu, w Sukiennicach, do wymówek i pogrozek. Żupnik Serafin i panowie rajcy miejscy ufali w to, że mieli za sobą opiekę możnych, wpływ swoich urzędów, a i gawiedź też, którą sobie ująć potrafili.

Dowódcą tych, co przeciw nim występowali, był niejaki Przedbor Hocz mieszczanin, człowiek zuchwały a ulubieniec gminu, w którego obronie zawsze stawał. Umiał on sobie tę miłość biednych pozyskać środkiem nigdy nie zawodzącym. Miał gębę wyparzoną i prawił głośno, zawsze jedno, że biedni obrońców nie mieli, że nie było sprawiedliwości na świecie. Nic łatwiejszego jak cierpiącym biedakom wmówić, iż oni pokutują nie za swe winy i są przemocy ofiarą.

Hocza za to pod niebiosa wynoszono, iż stawał w obronie uciśnionych. Dawniej hałasował on z powodu poborów, opłat, czynszów, na burmistrzów, na ławników, na sądy, na wójtów, i tem sobie przygotował przyjaciół. W sprawie monety, w której mógł mieć słuszość, łatwo mu było potem wystąpić i poruszyć nawet tych, co do żadnych wicherzeń ochoty nie mieli.

Sprawa była wszystkich obchodząca... Dobry pieniądz wykupywano, fałszywym zalewano targi, groziła powszechna nędza.

Rajcy miejscy byliby się chętnie pod jakim pozorem pozbyli Hocza, ale miał on też plecy, krewnych, był osiadły, na żadnem przestępstwie nie dawał się pochwycić, gawiedź szła na jego skinienie; niebezpiecznie było go zaczepić.

On tymczasem uzuchwalony, coraz ostrzej występował przeciw rajcom, Ratuszowi, żupnikowi i kupcom, co z niemi trzymali.

Balcer był w liczbie tych, co pieniędzy różnych dużo w obieg puszczali...

Hocz miał do niego ząb z dawna, bo mu córki odmówił, rad był się pomścić.

Pomimo odgrózek, które ze wszech stron nadchodziły na Ratusz, do pana Serafina i do Balcerów, lekceważyli oni sobie uliczną gadaninę. Robili swoje. Pieniądz niedobry rozchodził się w znacznej ilości. Płacili nim, mówiąc, że innego nie mają. Dowodzono im, że sami go bili pokątnie.

Ci, którzy na frymarku tym zyskiwali, bronili ich, ale gmin, rad zawsze, gdy do starszyny może się za coś jąć, krzyczał i groził.

Hocz podbudzał. Gromadzono się około niego po browarach, na cmentarzach po nabożeństwie, słuchano go i przyklaskiwano...

Żupnik Serafin śmiejąc się dowodził, że mu to było wszystko jedno, choć sobie ulica krzyczała.

– Kiedy ich gardła nie bołą, niech sobie pozwolą... Ja przez to nie schudnę! Bóg z niemi...

Niektórzy szeptali, że Hocza by ująć należało, ale obrażeni, którym zalał za skórę, nie chcieli z nim mieć do czynienia.

O całym tym sporze słyszał już wiele Grzegorz z Sanoka, i usiłował Balcera skłonić, aby go zagodzono, ale na próżno.

Hocz, którego znał, chodził do szkoły św. Anny z nim razem, nie przyjaźnili się z sobą, ale ława szkolna ma to do siebie, że lub przyjaciół lub wrogów na całe życie tworzy. Hocz, ów obrońca biednego ludu, a w istocie ambitna sztuka, któremu się w radzie siedzieć chciało z innymi, spotykając się z Grzegorzem, wynurzał się przed nim ze skargami, w nadziei może, iż one dojdą do biskupa lub na zamek przez niego. Ale Grzegorz z Sanoka do spraw tego rodzaju mieszać się nie lubił. Cenił swój i cudzy spokój nadewszystko, i powiadał, że wojnę tem tylko można było tłumaczyć, gdy ją prowadzono dla zabezpieczenia pokoju.

– Te żółto brzuchy miejskie doprowadzą nas do tego – mówił Hocz Grzegorzowi – że my nad niemi sami sobie sprawiedliwość uczynimy, gdy nam jej nie dadzą ci, co ją dać powinni.

– Patrzajże – odparł mistrz – że z ludem ulicznym to taka sprawa, iż on dziś z tobą pójdzie na Serafina, a jutro z Serafinem na ciebie.

– Niedoczekanie! – prawil Hocz.

Parę razy już zbiorowiska ludowe, groźne w rynku i na przedmieściach przybierały rozmiary takie, że miejska straż i wiertelnicy z trudnością je mogli rozproszyć.

Tumulty podobne w owych czasach i z innych powodów nieraz się wszczynały, ale te łatwo uśmierzyć było. Trafiało się, że studenci, którzy zwyczajem dawnym mieli zapewniony kozubalec od żydów, gdy z wyznaczonych do wypłacania go kampsorów nie byli radzi, wyprawiali napaść na pogrzeby żydowskie i zmuszali do okupu.

Zwyczaj ten tolerowany poniekąd, z naprawy zbyt gorliwych, poczynął teraz się zastosowywać i do poszlakowanych o hussytyzm ludzi.

Oprócz tego między samą młodzieżą, podzieloną na różne grupy, parafie i miejskie kwartały, w których przy odśpiewywaniu pieśni, miała prawo pobierać jałmużnę, przychodziło do starć, gdy jedna gromadka w granice drugiej rozmyślnie lub przypadkiem wkroczyła.

Rzadki dzień przeszedł spokojnie w Krakowie, gdzie i cudzoziemcy i kupcy wędrowni dawali powód do zwad ulicznych.

Urzędy więc miejskie, oswojone z takimi rozruchami, ustępującemi przed powagą wiertelników, nie przywiązywały do nich zbyt wagi.

Lepszy znawca usposobień ludzi, i uważniej przypatrujący się rosnącemu rozdrażnieniu Grzegorz z Sanoka, niepokoił się i przestrzegał, zwłaszcza Balcerów i Frączka, o których był niespokojny.

Nie chciano wierzyć w groźące niebezpieczeństwo. Tymczasem burza się widocznie zbierała.

Hocz od kilku dni, było to w sierpniu, zbierał tłumy, krzycząc i dowodząc, że sprawiedliwości nie ma, i że lud powinien ją sam sobie domierzyć.

Inni podżegacze, poili motłoch i usiłowali go do rzucenia się na domostwa Żupnika i rajców namówić. Szło to jednak opornie... Sądy za gwałty były surowe, obawiano się wyroków, jakich miano przykłady...

Gdy parę razy ściągnięta gawiedź, rozeszła się nic nie poczynając, tylko odgrzając się i krzycząc, Żupnik Serafin i rajcy sądzili, że się to tak uśmierzy i skończy na niczym...

Dnia trzynastego sierpnia wszedł wieczorem Grzegorz z Sanoka do Balcerów posępny i milczący. Wszyscy byli w domu. Siadł na ławie nie mówiąc nic, i dopiero gdy go Frączkowa, stanąwszy przed nim zagadnęła, co mu to jest, iż tak smutną twarz im przyniósł, rzekł ostro.

– Żal mi was, żeście głusi i ślepi.

– W czym? jak?

– Powinnibyście się domyśleć – począł mistrz. – Lekko sobie ważycie Hocza i gmin, a grozi wam wielkie od niego niebezpieczeństwo.

Balcer stary niewielomówny zwykle, ręką zamachnął w powietrzu i ramionami ruszył. Grzegorz wstał z ławy.

– Na miłego Boga nie puszczajcie mimo uszu słów moich – odezwał się. – Na jutro umówiona jest napaść na Serafina, na Graciana, Winka i na was, nielicząc tych, o których nie wiem... Lud się zmówił, przewodcy powyznaczani, przypadkiem doszła mnie wieść o tem. Albo zaradźcie temu, wywołując złą monetę, albo, jeżeli do tumultu przyjdzie, chronicie się natychmiast na zamek, boście życia nie pewni.

– Jako! jako! – krzyknął Frączek – ta hałastrą śmiałyby się porwać na pana Żupnika! na rajców! To są głupie przechwałki...

– Na które nie zważając, możecie je życiem przypłacić – mówił mistrz. – Mam dla was obowiązki, ratować was chcę...

Jeśli mi nie wierzycie, wola wasza, czyńcie jak się wam podoba, ale niewiasty wasze niech za wasze zaślepienie nie pokutują. Uprosiłem na zamku u ochmistrzyni królowej schronienie dla matki Balcerowej i Frączkowej, i obstaję przy tem, aby kosztowności zabrawszy, szły ze mną.

Mężczyźni uszom nie wierzyli, zamilkli, ale stanowcze oświadczenie takie, silne na nich uczyniło wrażenie. Spojrzeli po sobie.

– Nie może to być! nie przyjdzie do tego! – zaburczał Frączek...

Balcer się zadumał.

– Więc by trzeba dać znać Żupnikowi i rajcom?

– Winka po drodze spotkałem i przestrzegłem go – odparł Grzegorz... – Jutro rano daj Boże, byście zbiedz czas mieli. Hocz o rannej godzinie kazał się swoim schodzić pod pannę Maryę, mają uderzyć we dzwony na gwałt i rzucić się na wasze domy...

Pewność z jaką o tem mówił Grzegorz z Sanoka, dała do myślenia.

Frączek się ruszył wychodzić na miasto, gdy wpadł Wink, jeden z najupartszych rajców i tych, którym właśnie rozsypywanie złej monety przypisywano... Zawadjaka był zuchwały, ale w duszy tchórz.

Zobaczywszy Grzegorza na ławie siedzącego, od progu zawołał.

– A, to już wiecie!! Odgrają się zbóje, ale straż mamy, która będzie czuwać uzbrojona.

– Pamiętajcież tylko – przerwał mistrz – że i tej straży, gdy się zawieruszy, nie możecie być pewni. Gdy Hocz górę weźmie, pierwsi viertelnicy pójda pod jego rozkazy.

– Jakaż rada? – zapytał Frączek.

– Trzeba na ratuszu postanowienie ze złą monetą uczynić i wprowadzania jej się wyrzec – odezwał się Grzegorz...

– Ho! ho! – przerwali mieszczanie.

Mistrz z niemi rozprawiać już nie chciał, zwrócił się do Balcerowej i Frączkowej z powagą i nakazującym tonem.

– Wybierajcie się i idźcie za mną, nie stanie się nic, nie zaszkodzi wam nocleg na zamku, a ja was w tem niebezpieczeństwie zostawić nie chcę.

Frączkowa, która słuchała i milczała, dopiero się odezwała.

– Mamyż ojca i męża porzucić?

– Kiedy oni nie wierzą i iść nie chcą, ja przynajmniej was zabiorę. Proszę więc, za mną w drogę. Balcer i Frączek głowami kręcili, Wink milczał... Grzegorz przynaglał.

Przez długi czasu przestanek panowała niepewność. Balcer i Frączek nie dawali się skłonić do ucieczki, kobiety się wahały, ale mistrz na swem postawił i na pół musem uprowadził na zamek.

Tu już ochmistrzyni królowej uproszona izbę dla nich trzymała w pogotowiu...

Grzegorz, oprócz tego zawiadomił biskupa Zbyszka, który niedowierzająco przyjął przestrożę.

– Należałoby rozruchowi zapobiedz – rzekł.

– Zdaje się, że już zapóźno – odpowiedział Grzegorz – a tem trudniej sprawę rozsądzić, że Hocz, choć warchoł, ma słuszość.

Biskup z powagą i zimną krwią sobie właściwą, zamilkł, odkładając radę na jutro...

W mieście Żupnik Serafin, najwybitniej zamieszani w sprawę rajcy, późno dopiero w noc, rozesławszy po mieście swoich ludzi na zwiady, po język, przekonali się, że obawy przesadzone nie były.

Gawieź przeznaczona do napaści przeciw nim wymierzonej, całą noc piła po browarach. Vierterników wysłanych, aby ją rozproszyć, potłuczono i rozebrano. Klucze od dzwonnicy u p. Maryi i w kilku innych kościołach były w ręku zbuntowanych.

Całą sierpniową noc te kupki się snuły po uliczkach, zwoływały i czuwały... Hocz, którego nigdzie nie było niby, w istocie był wszędzie. Pokazywał się i niknął.

Popłoch między rajcami był niemały, ale jeszcze mieli nadzieję, że się to na niczem, na wrzasku skończy.

Wszakże Miklucz Serafin w nocy pieniądze, jakie miał, do dworca biskupiego wywiózł potajemnie...

Do dnia w mieście nic niebyło można dojrzeć nadzwyczajnego, tak, że pospolici ludzie, o niczem nic nie wiedzący, sądzić mogli, iż bań na postrach sklecono...

Życie się rozpoczynało jak zwykle, otwierały się kościoły, pobożni szli do nich, dziady stawały przed niemi, okiennice kramików zwolna spuszczano; przekupnie wystawili chleb i mięso na sprzedaż, w sukiennicach poczynął się ruch powszedni, nic nie zwiastowało żadnego usposobienia do rozruchu. Ulice nawet wydawały się pućiejsze, niż zwykle...

Około tego czasu, gdy primarją po kościołach czytają, z zaułków, uliczek, kątów, zaczynała się powoli ściągać gawieź, której na rynku nie widywano zwykle; ludzie w odzieży poszarpanej, z twarzami dzikimi, jakby obcy tu i nieumiejący się obracać. Szli niepewnie oglądając się, aby niemi pokierowano, skupiali się, rozpraszali, szeptali z sobą, ustawiali się pod murami... Nieznacznie liczba ich rosła coraz, pomnażała się, i milczenie w gwar się głuchy zmieniło...

Nim primarja u P. Maryi się skończyła, rynek już był przepełniony. Niektórzy z tych ludzi mieli pałki na ramionach. W pootwieranych piwnicach tłok był niezmierny...

Miasto zarówno po bocznych ulicach, jak w rynku, przybrało niezwykłą jakąś fizjognomię. O rozpędzaniu tłumu mowy być już nie mogło, składał się on z tysięcy i pomnażał żywiołami nowymi.

Wielka liczba czeladzi ciekawej... przyłączyła się do niego...

W tem, jakby z pod ziemi wyrósł, zjawił się Hocz, któremu poddano niewiadomo zką ogromną beczkę, na której stanął, aby nad tłumem tym górował...

Ze szmeru i gwaru, jaki w rynku panował, nagle cisza stała się wielka, i Hocz głos zabrał.

Miał on już dobrą wprawę w ton i sposób, jakim do ludu mówić potrzeba. Wymowa tu niekonieczna i logika nie jest niezbędną, ale krzyczeć głośno, a bić musi orator w krzywdy, uciski i uciemiężenie. Hoczowi to przychodziło łatwo, bo miał za sobą istotnie sprawiedliwość.

– Chodziliśmy na ratusz, kłaniali się i przedstawiali na próżno, odpędzono nas precz. Słuchać nie chcą, swoje robią, a biedny lud o nędzę przyprowadzają. Dla kilku złych mamyż ginąć wszyscy? Lepiej, żeby oni zginęli. Potem naszym się z bogacili, krew z nas wysysają...

Mówił tak coraz goręcej, a lud stojący coraz żywiej mu okrzykami potakiwał. Ruch się zrobił w tych ściśniętych gromadach. Zaczęto krzyczeć.

– Na Serafina! na Graciarza! na Winka! na Balcerów! na gałąź z niemi!!!!... Burzyć domy...

I jakby na dany znak tłum ten i zbiegowisko, podzieliwszy się na gromady, runęło ku ratuszowi, rozptęnęło się po ulicach...

Hocz sam prowadził jedną kupę, w pałki zbrojną. Na ratuszu niebyło już nikogo, ani rajców, ni ławników. Izby stały żelaznemi drzwiami pozamykane.

Natychmiast jeden oddział z Hoczem rzucił się na dom Serafina Żupnika, którego już tu nie znaleziono...

Wywalono wrota, połamano sprzęty, inni tak samo pędzili ku domom obwinionych rajców.

Szczęściem wszyscy oni, choć późno, potrafili ratunku szukając, zbiedz na zamek... Goniono ich tak, że o mało nie doścignięto, gdy się za nimi wrota zamknęły...

Hocz nie poprzestał na tem i uzuchwalony z całym tysiäcznym tłumem, rozwścieczonym, gniewnym, rozhukanym jak morska fala, zjawił się pod murami zamkowemi, domagając się wydania winnych...

Stało się to tak niespodzianie, że królowa, król, dwór, przerażeni zostali napaścią, i młody Władysław rzucił się już zbierać ku obronie szczupłą garstkę rycerstwa, która na Wawelu się znajdowała.

Szczęściem tylko co ukończywszy ranne nabożeństwo w kościele, biskup Zbyszek znajdował się jeszcze na zamku... W pomoc jemu nadbiegł Grzegorz z Sanoka...

Oblężenie zamku przez te gromady ludzi, było wypadkiem tak niesłychanym, a tak wielkie przybierającym rozmiary, iż niedając się pożarowi szerzyć, musiano go natychmiast zażegnać. Hocz z głównymi przywódcami szturmował do wrót, domagając się już nie kary na winowajców, nie sprawiedliwości, ale wprost wydania tych ludzi, których gmin osądził i skazał na gardło... Dopuszczyć raz taką karę i pomstę bezprawną, było to otworzyć wrota nieustającym niepokojom...

W chwili, gdy Hocz, u wrót stał i gwałtował, po nad niemi zjawił się w ubraniu swem biskupiem, komży i stule, poważny, zimny, surowy, niewylękły bynajmniej, biskup Zbyszek.

Znano go jako męża, który nikomu ustępstw nie czynił... Hocz pod wrażeniem jego dostojenstwa, mimowolnym ruchem zdjął z głowy czapkę... Nim się odezwał, Zbyszek tym głosem, którym królów nawykł był gromić, począł go strofować i domagać się spokoju i odejścia precz gawiedzi.

Hocz dopiero po chwili trochę swojego zuchwalstwa odzyskał, ale ta krótka chwila, w przeciägu której stał milczący z odkrytą głową starczyła, aby otaczającemu tłumowi odjąć jego butę i ostudzić go...

Biskup natychmiast zabrał głos, naprzód sposób ten domagania się sprawiedliwości potępiając, potem łagodniej nieco począł obiecywać, iż sprawa się rozpatrzy i rozwiąże tak, aby krzywda i ubytki nagrodzone zostały, wina ukarana...

Domagał się jednak, aby zbiegowisko natychmiast się rozproszyło.

Hocz miał czas powrócić do pierwszego swojego zuchwalstwa, i zamiast ukorzyć się, domagał wydania Żupnika i Rajców, którzy się w zamku schronili.

– Tak jest, schronili się tu i nietylko ja ich pod płaszc mój, ale kościół weźmie w opiekę i da im przytułek, bo to jest przywilejem jego... Winni czy niewinni, wy nie macie prawa ich sądzić.

Tłum się począł ujmować za swoim przewodzcą, zaryczał, a ci co dalej stali, niewiedząc dlaczego wrzask ten powtórzyli...

Biskup mówił, nie słuchano go.

Naówczas na skinienie jego wystąpił Grzegorz z Sanoka. Ten poufałym tonem zwrócił się do Hocza.

– Słyszeliście słowo ojca naszego duchownego, powinno by go starczyć dla opamiętania was; ja przychodzą do was od króla, od królowej, zalecając, abyście się natychmiast rozeszli. Sprawiedliwość uczyniona będzie, ale wam w gniewie samym dać ją domierzać, byłoby grzechem, król tego nie dopuści.

Chcecież, aby swoje panowanie rozpoczął od tego, by się bronił przeciw tym, co mu wierność przysięgali! Do domów! Rozchodźcie się...

Pasterz nasz, rada królestwa tego wezmą w ręce sprawę i rozstrzygną... Idźcie spokojni...

Panowało milczenie czas jakiś, ale zdala powtórzyły się krzyki. Natenczas Grzegorz z Sanoka zwrócił się do Hocza.

– Pomnijcie wy, Przedborzu, że za wszystko odpowiadać będziecie, za ten ból i srom, jaki uczyniliście królowi, za to, cokolwiek się stanie, wyście lud ten podburzyli...

– Nie ja, ale niesprawiedliwość, ale krzywda! – przerwał Hocz.

– Wy – powtórzył Grzegorz – wy, bo zamiast w dziesięciu przyjść z pokłonem do tronu prosić o wysłuchanie, zebraliście tłum i chcecie ją wymódlą siłą.

– A cóż będzie gdy na siłę pójdzie siła!

Hocz stapał z nogi na nogę, biskup Zbyszek korzystając z chwili milczenia, odezwał się z powagą.

– Idźcie w pokoju do domów! kapłańskim słowem mem, w imieniu króla zaręczam wam, iż sprawę waszą rozsądziemy wedle prawa Bożego i ludzkiego.

– Do domów! – powtórzył Grzegorz z Sanoka.

Hocz stał jeszcze, gdy chwilę upojony tłum, zwolna się rozstępować zaczął, szeptać między sobą i cofać.

Na wałach zamkowych właśnie zaczęli się okazywać ludzie zbrojni, łucznicy i kusze, tak, że sądzić było można, że przyjdzie do starcia, gdyby się upierano zamek naciskać.

Hocz począł mówić, ale głos zniżywszy, tłumaczył się, jękał...

Biskup jedno powtarzał.

– Rozchodźcie się...

I gawiedź w końcu zachwiana, a otrzeźwiona nieznacznie się rozplýwać zaczęła.

Gdy raz ruch ten wsteczny dał się uczuć, nikt nie chciał być ostatnim, obawiano się pozostać, aby nie wpaść w ręce straży zamkowej i nie popaść do Dorotki.

Rozchodzące się kupki kroczyły zrazu zwolna, potem coraz żywiej, gdzie kto mógł kryły się, wsuwały, nikły, tak że Hocz obejrzawszy się nie rychło, ujrzał że był z małą kupką sam jeden prawie...

Odgrajając się i mruczając, i on więc w końcu cofnął się ku miastu...

Niebezpieczeństwo było zażegnane, lecz nie odwrócone stanowczo...

Zaledwie się ludu pod zamkiem przeredziło, i biskup Zbyszek poszedł królowej przeleklej donieść i wytłumaczyć co się stało, gdy Grzegorz z Sanoka, kazał sobie furty otworzyć, i śmiało sam jeden wyszedł na miasto...

Potrzeba było bić żelazo gorące... zawołał na uchodzącego Hocz, który się zatrzymał.

– Chcesz li być cały, – rzekł – miej rozum i coś popsuł staraj się naprawić...

W Przedborze wszystko zakipiało. Był warchołem, lecz bądź co bądź wystąpił w sprawie dobrej.

– I wy coście z ubogiego paupra wyszli na ludzi, – zawołał – nad ubogimi litości nie macie... Bóg mi świadek sprawiedliwości tylko żądałem...

– Aleś się jej źle domagał – odparł Grzegorz. – Pięścią nie godzi się nic wymuszać. Gdzie ona występuje tam rozum i prawda milkną...

Uderzył go po ramieniu.

– Zakaż swoim, aby nowych zaburzeń nie wywoływali – dodał – reszta się dokona, gdy biskup wzięł w ręce swe sprawy.

Nie dość na tem, Grzegorz razem z Hoczem poszedł do miasta, aby dopilnować uspokojenia gawiedzi...

Nie powrócił rychło na zamek, ale gdy wieczorem zjawił się zmęczony, mógł upewnić biskupa i królowę, że się zaburzenie nie powtórzy...

Hocz spokorniał.

Zawołano mistrza do króla, który poruszony wielce, na pół uzbrojony biegał po swojej izbie, zagadując młodzież która go otaczała. Zobaczywszy swojego mistrza poskoczył ku niemu. Oczy mu pały.

Chociaż wierny swój lud krakowski miał przed sobą, młody pan samem prawdopodobieństwem jakiejś walki, był rozdrażniony... Gotów był się rwać, i iść bić się, nie patrząc z kim... Gorąco począł badać Grzegorza, co to było, jaka niesprawiedliwość mogła lud przyprowadzić do takiej rozpacz...

Dla uspokojenia Władysława, mistrz nie znalazł lepszego środka, jak całą rzecz obrócić w żart.

– Miłościwy panie – odezwał się – gawiedzi chodzi o grosze... Sprawa pójdzie przed sędziów i zostanie rozstrzygnięta. Przeciwno takiemu tłumowi, czyżby rycerską było rzeczą występować... Połowa tych ludzi nie wiedziała, po co się tu cisnęła...

– A! krzyki te – zawołał Władysław – poruszyły mnie tak... Było w nich coś wyzywającego do boju...

Kiedyż się ja doczekam tego, abym na koń mógł się i pójść w pole!!

– Aż nadto prędko! – odparł Grzegorz z Sanoka smutnie...

Tak spełzło na niczem to poruszenie, które tylko dowiodło królowej, biskupowi i Grzegorzowi, że młodego pana długo na Wawelu bezczynnym utrzymać nie potrafią. Karmiono go tak rycerskimi kronikami i opowiadaniem, iż teraz przedwcześnie rozgorzały zapał, potrzeba było gasić i łagodzić.

Królowa Sonka, gdy raz obawa przeszła, cieszyła się, widząc w synu tę niecierpliwość i gotowość do czynu.

Grzegorz, który na wszystko miał oko, dostrzegł różnicy wrażeń i usposobień w dwu braciach. Młodszy o lat kilka Kaźmirz, całą tę sprawę pojął inaczej zupełnie.

Gniew go opanował przeciw zbuntowanym. Nie myślał wcale o tem, aby przeciwko nim wystąpić, ale się oburzał na warchołów i wołał, aby ich siłą precz rozeznano...

Dla Władysława wszystko co rokowało wojnę, było pożądaniem, Kaźmirz nie pojmował w podwładnych nieposłuszeństwa i samowoli. Brwi mu się ściągały, ale energia wyrostka była milcząca... Starszy rzucał się i mówił wiele, zajmowało go to żywo, młodszy wzgardliwym milczeniem zbywał ten poryw, a spytany przez Władysława jakby sobie radził – odparł – tłum bym kazał precz rozeznąć!!

Ledwie się to uspokoiło, i przestraszeni Żupnik i rajcy poczęli łagodzić rozdrażnienie, ujmując sobie ludzi, gdy nowy a daleko groźniejszy niepokój zmusił biskupa i radę do szukania środków poskromienia Spytka z Mielsztyna, Dersława z Rytwan i innych naśladować chcących w Polsce wybryki hussytów czeskich...

Zbierały się kupy zbrojne, mnożyły napady na dobra duchowieństwa, sam biskup był dotknięty nie tylko najazdem, ale wśród tego zamętu dokonany gwałtem.

Narieczona jego stryjecznego brata, Jadwiga księżniczka, przez Jana Krzyżanowskiego porwaną i uprowadzoną została...

Potrzeba było niedopuszczając szerzenia się nieładu, ukroić te wybryki, aby nie zakłóciły potrzebnego spokoju. Naznaczono na ten cel zjazd w Korczynie.

Biskup Zbyszek, z powodu tych wypadków nie miał czasu wglądać bliżej w to, co się w Krakowie i około królowej działo...

Grzegorz z Sanoka, chociaż niewtajemniczony jeszcze, z często potajemnie przybywających tu Czechów, z posyłek do Pragi, z wielkiego ruchu jaki królowę Sonkę otaczał, mógł łatwo wniesć, że o los swoich synów zbytecznie zabiegliwa, znowu coś musiała przedsiębrać.

Jednego dnia wreszcie, gdy wedle zwyczaju przyrzekł donieść matce czem się syn jej zajmował, odezwała się do niego z twarzą rozpromienioną.

– Każko ma już rok trzynasty! Nieprawdaż! Wychodzi z dzieciństwa, o nimby też pomyśleć trzeba, aby się przepowiednia sprawdziła. Koronę mu zdobyć musimy.

A gdy mistrz słuchał w milczeniu, nie odpowiadając, dodała.

– Jest to jeszcze tajemnicą, wy jej nie zdradzicie, a będziecie się cieszyć ze mną. Wszystko to dziełem jest mojem. Korona dla Każka się gotuje...

Z niedowierzaniem spojrział Grzegorz.

– Tak, tak, – potwierdziła królowa wesoło – Kaźmirz będzie królem czeskim, wszystko jest przygotowane... Prażanie i moi przyjaciele w Czechach wybiorą go... Albrecht nie może panować razem w dwu królestwach, Czesi go nie lubią. Wielkorządcami ich zbywa, oni chcą mieć własnego pana...

Tak – dodała raz jeszcze – wybór Kaźmirza przygotowany, pewna go jestem...

– Miłościwa pani – odezwał się Grzegorz – wierzę w to, że Czesi wybrać mogą naszego księcia, ale czy go utrzymać potrafią? Albrecht nie da sobie wyrwać korony czeskiej nie stając w jej obronie... Zatem wojna...

– Tak, przewidywać ją można – dodała królowa – ale znajdziemy siłę do prowadzenia jej. Potrzeba tylko jednego oddziału polskiego, a Czesi się do niego przyłączą. Niechętnych Albrechtowi jest więcej, niż mu przyjaznych... Obmyślałam wszystko, znajdziemy pieniądze i ludzi.

Po chwili namysłu Grzegorz ośmielił się zapytać.

– Czy nasz pasterz jest o tem zawiadomiony, i...

Królowa mu nie dała dokończyć.

– Biskup Zbyszek? – zmarszczyła się. – Nie, może się domyśla, lecz nie wie o niczem jeszcze, gdy rzecz zostanie dokonana, dowie się, i zgodzić na to musi...

Na chwilę zachmurzona twarz królowej rozjaśniła się wprędce. Była cała jeszcze przejęta świeżo odebranymi wiadomościami.

– Spodziewam się – dodała zwracając do Grzegorza – iż gdybym pomocy waszej w sprawie tej potrzebowała...

Sklonił się pozwany, oświadczając gotowość. Powróciwszy do mieszkania swego, znalazł już tam Biedrzyka, który oczekiwał na niego.

Nie spowiadał mu się z niczego Czech, lecz z mowy widać było, że miał go za wtajemniczonego przez królowę.

Był to zresztą człowiek skryty, ostrożny, i więcej stworzony do podsłuchów, niż do rozmowy...

Grzegorza powaga, rozum i nauka już w podróży na nim wielkie uczyniły wrażenie i obudziły poszanowanie.

Po kilku obojętnie rzuconych pytaniach i odpowiedziach, Biedrzyk zręcznie naprowadził mowę na młodych synów królowej. Widocznem było, iż rad był ich charaktery wyrozumieć.

– Król nasz – rzekł mu Grzegorz – jest to rycerskie chłopię, które wzdycha tylko do tego, aby wyjść w pole i bohaterem się okazać. O tem myśli i śni, mówi i marzy... Serce ma dobre, charakter szczodry i otwarty... Jakim będzie królem czasu pokoju... jakim panem dla swojego ludu, to dopiero przyszłe lata okazać mogą. To wiem, że szlachetny jest, miłosierny, a tak hojny i nieopatrny w rozdawaniu co ma, jak ojciec.

Biedrzyk słuchał z uwagą.

– A młodszy? – zapytał.

– Tego ja mniej znam – mówił Grzegorz – i jako o młodszym nic nie można zawczasu przesądzać. Są w braci charakterach podobieństwa i różnice. Kaźmirz więcej jest w sobie zamknięty, milczący, silniejszej woli, charakteru może będzie energiczniejszego, niż brat, ale serca dobroć i hojność pańską ma też samą.

Z nich dwu – dodał Grzegorz – nie potrzebując tać się ze swem zdaniem, bohaterstwa pewnie okaże więcej starszy, lecz młodszy królować będzie dzielniej, i jeśli z młodzieńczych początków wnosić się godzi, przez cudze oczy patrzeć nie zechce, ani nad sobą ścierpi przewagi panów i rady!!

Biedrzyk głową pokręcał, słuchając.

– U nas – mówił mistrz dalej, – gdzie panowie nawykli mieć wielki udział w rządzie, bo Jagiełło przez czas długi zupełnie na nich się zdawał, gdy i teraz nie król, ale panowie ci wszystko czynią co chcą, i władzę całą mają w rękach, u nas młodszemu by było trudniej, gdy z rycerskim panem, Władysławem zgodzą się radzcy, bo byle mu wojować dozwolili, o resztę u nich pytać nie będzie.

Czech słuchał z wielkiem zajęciem.

– Zresztą, – dokończył Grzegorz – wyrokować dziś o ich przyszłości się nie godzi... Czas ludzi zmienia.

– My wam zazdrościm – przerwał Biedrzyk – bo w Polsce panujący bez rady nie stanowi nic, a to my też u siebie mieć chcemy, Albrecht nam nie na rękę, bo ani mieszkać w Pradze nie może, ani sam rządzić, a biada krajowi, który zaocznie, wielkorządzący sprawiają!!

Jeżeli do tego przyjdziemy, abyśmy sobie pana po myśli naszej wybrali, zastrzeżemy się, aby królował sam, i swobody nasze poręczył...

Do tego dążymy... Gdybyśmy z Polską się połączyć mogli, oparlibyśmy się Niemcom i Węgrom, i bylibyśmy panami w domu, a dla Polski też urosłaby z nas siła niemała.

– Ale wprzód potrzeba – odezwał się Grzegorz – abyście wy sami z różnych obozów, na które podzieleni jesteście, do jednego się zesłi, aby ten, kogo na tron weźmiecie, nie potrzebował bić się z Albrechtem naprzód, a potem z własnymi poddanymi.

Westchnął Biedrzyk...

– Byleśmy obcych się pozbyli, w domu między bracią ład się zrobi. Jednej matki dziatki, nie będą z sobą walczyli, ręce sobie podadzą...

Zygmunt nam narzucił zięcia i córkę, choć do tego prawa nie miał...

– Przecieżeście przyjęli go i ukoronowali – zakończył Grzegorz.

Życzymy wam najlepiej, ale wiercie mi, nie narody sobą i losami swymi, ale Bóg włada nimi...

Przyszłość on wie jeden.

II

Gdy się to działo w kółku otaczającym królowę, po za niem nikt jeszcze nie przeczuwał tego, co się w Czechach przygotowywało.

Zbigniew biskup, zajęty uśmierzeniem niepokojów, jakie mu hussyci polscy wznawiali ciągle, głównie na niego czyhając, zasadzając się i usiłując go pozbyć, jako wroga swojego, nie miał czasu wnikać zblizka w czynności królowej Sonki.

Obóz hussycki niewielki, ale ruchawy, dążył do tego, aby się wyzwolić w Polsce, jak w Czechach przykład dano, z pod zwierzchnictwa Rzymu i duchowieństwa przewagi. Oleśnicki widział dobrze następstwa, które to za sobą ciągnęło. Najpierwszem była anarchja, która w kraju otoczonym nieprzyjaciółmi, zgubę niosła.

Wszyscy nieprzyjaciele Polski, a naprzód Krzyżacy, cieszyliby się byli mocno, gdyby silny rząd, który nawet czasu małoletności czuć się dawał, walką wewnętrzną się rozchwiał.

Całą więc usilność swą skierować musiał na utrzymanie wewnętrznego pokoju, i zniszczenie w samych zawiązkach hussytyzmu, który mógł Polskę podkopać, ów biskup Zbyszek, będący dotąd jedynym Polski władzcą, choć na pozór dzielił tę władzę z innemi.

Z jednej z wycieczek swych powracając do Krakowa, zaledwie we dworcu swym wysiadłszy wprzód nim się z kimkolwiek mógł widzieć i rozmówić, znalazł oczekującego nań Grzegorza z Sanoka.

Królowa wiedząc już o przybyciu biskupa, wysłała go, aby mu się od niej pokłonił i na zamek go wezwała. Być może też, że poleciła przygotować go do wcale niespodzianej nowiny.

Wiadomość urzędowa nadeszła z Pragi, że Czechy, wedle przyrzeczenia, wybrały Kaźmirza królem swoim.

Zobaczywszy mistrza, Oleśnicki, który zawsze go raczej jako uczonego, niż do innych spraw powołanego człowieka, uważał, powitał po łacinie.

– O! szczęśliwy człowiecze! Ty sobie tu *Bukoliki*, *Enejdą* i Plauta czytasz, a w nich się lubujesz, gdy my pod ciężarem i w jarzmie chodzić musimy. Cóż królowa?

– Pozdrowić was kazała, i powitać, z tem przychodzę – odezwał Grzegorz – patrząc biskupowi w oczy... Radaby miłość waszą oglądać, bo ma też i nowinę pono, którąby się rada podzielić!

– Nowinę! – przerwał niespokojnie biskup... – Zaprawdę, lękam się nowin, bośmy ich syci...

– Ta złą się być nie zdaje, chociaż ja o tem sądzić nie umiem – odparł Grzegorz.

– Mówcież mi ją, jeśliście jej świadom – zawołał biskup zaniepokojony.

– Z Pragi wieść przyniesiono pewną, że Czesi tam zebrani, którzy Albrechta nad sobą nie chcą, królewicza naszego Kaźmirza obrali królem sobie, i poselstwo o tem oznajmujące, wyprawić wprędce mają.

Pierwsze wrażenie nowiny tej, którą Grzegorz nazwał dobrą, na biskupie uczyniło wrażenie wielkiego niepokoju, niemal trwogi...

Zwolna załamał ręce i usta mu się dziwnie wypaczyły.

– O! – zawołał – ta niewieścia a macierzyńska niecierpliwość, co dobrze życząc dzieciom, może im gotować męczeństwo! To sprawa królowej! Nie wątpię!!

I jakby nie zważał na to, że z poufnym królowej sługą mówił – dodał z goryczą.

– Nie może spocząć, nie chce czekać nasza pani... a gotuje nam i dzieciom troski i brzemia nad siły... tak samo szalone owo małżeństwo z Barbarą dla niedorosłego chłopięcia układała, któremu Bóg łaskaw przeszkodził, teraz nam wojnę sprowadzi dla korony, której Kaźmirz nie posiadzie...

Co tu począć z tą jej macierzyńską troskliwością!!

Grzegorz milczał.

– Czechy! Czechy! – mówił dalej biskup – zaraza! hussytyzm! herezya! Już mamy zadatki tej choroby w kraju, nad którąbym morowe wołał powietrze!! Czechy!!

Zmarszczył się biskup...

– Mówią – odezwał się Grzegorz – iż znaczna większość narodu jest za królewiczem naszym...

– Ale my w domu mamy do zdobycia przedewszystkiem pokój i siłę, cóż dopiero za granice iść po zdobycze?... Za plecami się nam namnoży Spytków, Derśławów i Zbąskich...

Spojrzał bystro na Grzegorza.

– I wy, co pokój cenić umiecie, wy co wiecie, ile on wart dla podźwignienia narodu, oświecenia go, z bogacenia, wy mówicie, że to nie jest zła wiadomość??

– Mówiłem, że o tem sądu wydawać nie chcę – przerwał Grzegorz – królowa się cieszy...

– Niewiastą jest – westchnął biskup... – Widzi tylko blask koron, a ich ciężaru nie czuje...

Dziecku na skronie ten rozpalony obręcz!... Załamał ręce...

Weszli razem do dworu biskupiego, i po chwili Zbyszek się uspokoił.

– Idę z wami na zamek – rzekł do Grzegorza – pozwólcie mi tylko na krótką uklęknąć modlitwę i wezwać Ducha świętego...

Znikł biskup, a Grzegorz pozostał z kapelanem jego i młodym pisarzem amanuensem Długoszem, w którego oczach bystra pojętność połyskiwała, choć przy biskupie pokorny i milczący stawał zdala...

Mówiono o podróży, o zasadzce na życie pasterza, o śmierci Spytki, która cudownie od niebezpiecznego uwalniała nieprzyjaciela, gdy biskup powrócił i natychmiast oświadczył gotowość udania się do królowej.

Sonka oczekiwała na biskupa, którego szanowała, ale obawiała się więcej jeszcze, zawczasu układając twarz wesołą, choć niespokojną była i przeczuwała, że jej zabiegi źle być mogą przyjęte i osądzone...

Dlatego może wszystko się w takiej tajemnicy gotowało, i biskup dowiadywał się o wyborze Kaźmirza, gdy już posłowie z Pragi do Krakowa się wybierali.

Z twarzy wchodzącego poważnie zachmurzonej, wyczytała królowa myśl Zbigniewa...

Przy niej obok stał trzynastoletni Kaźmirz, zamyślony nad wiek swój i nie wesół, któremu Sonka rozkazała rękę biskupa ucałować...

– Oto przyszedł król czeski! – odezwała się wprost, unikając długich tłumaczeń i wiedząc, że Oleśnicki był uprzedzonym...

– Bogdajby nim był!! – westchnął biskup – lecz niczem wybór jeszcze... niczem nawet koronacya, potrzeba się orężem dobijać panowania, a my...

– Mamy – przerwała królowa – cały gotowy zastęp kilkunastotysięczny, który pójdzie z nim – wskazała na syna – do Pragi, na pole boju... i wywalczy mu koronę...

Mamy – powtórzyła – dowódców, ludzi... i pieniądze... wszystko!!

Biskup stał, wcale nie zdając się tem przekonany...

– Wojna z Albrechtem nie będzie łatwą – rzekł – ani krótką. Nie da on nam spokoju...

– W Węgrzech będzie zajęty – szybko dodała królowa – Turcy mu tam grożą, bronić się musi...

– A my z jego wojny z nieprzyjacielem chrześcijaństwa korzystać będziemy? – spytał biskup.

– Cóż na to powie cesarz i Paleolog, i państwa chrześcijańskie?

– Wszakże nam tę koronę przynoszą, nie szliśmy po nią – poczęła królowa coraz żywiej.

Biskup spojrzał i wejrzenie to rumieniec wstydu wywołało na twarz królowej, bo wiedziała, że Zbigniew starał jej i zabiegów się domyślał, był ich pewny...

Zwolna Sonka ręce złożyła przed nim.

– Opiekunie moich dzieci, dobroczyńco – szepnęła – nie odpychaj dla tego chłopca, co mu Bóg daje... Samo się to narzuca... Czechy go pragną... żądają... proszą...

Biskup nie sprzeciwiając się już, przybrał postawę człowieka, który małym się czyni, aby wielkie z siebie zrzucił brzemień.

– Nie do mnie należy rozstrzygać o tem – rzekł – jam jednym z rady, ale nie całą radą króla, niech drudzy panowie wyrokują, czy wojny chcą, bo wybór ten nic innego nie znaczy nad długą i upartą wojnę...

Dla królowej było to uspokajającym, bo choć władzę i wielką przewagę biskupa w radzie znała dobrze, lecz zawczasu już innych panów zjednać się sobie starała.

Z niewieścią umiejętnością dokazywała cudów królowa Sonka, gdy jej szło o interesa dzieci. Umiała ona jednych pozyskać obietnicami i datkami, drugich łaskawością i uśmiechem, innych zaufaniem im okazywanem...

Znaczniejsza część wojewodów i kasztelanów w Radzie zasiadających, mających u biskupa uważanie i względy, ujętą była zawczasu...

Ten sam urok pomnożenia potęgi Polski i rozszerzenia jej granic, sojuszem ścisłym z Czechami, który skłonił do zbliżenia się ku Litwie, ciągnął ku Czechom...

Zapominano w jakim stanie zawichrzenia kraj ten był oddawna...

Królowa poręczała, że sami Czesi dopomogą do uspokojenia i zjednania wszystkich Kaźmirzowi...

Miała już pozyskanych sobie i za nią gotowych przemawiać w radzie królowa, Sędziwoja Ostroroga wojewodę poznańskiego i Jana z Tęczyna sandomirskiego. Ci obiecywali jej innych nawracać...

Oporu można się było spodziewać, bo Zbigniew go swoim zdaniem wywołać musiał. Oglądano się na nie, a wielu przy nim z własnem zdaniem oświadczyć się nie śmiało.

Następne dni królowa spędziła w niepokoju, posyłając swoich na zwiady, usiłując odgadnąć usposobienia.

Jak przewidzieć było łatwo, zdania zostały podzielone... Podawano nawet w wątpliwość, czy posłowie czescy przyjadą.

Goniec po gońcu już ich oznajmywał, a jeszcze niespełna wierzono w tak śmiałe wystąpienie Czechów.

Naostatek jednego dnia w pięknym poczcie zjawili się zapowiedziani. Na czele ich Hertwig z Rusinowa, Jan z Persztynu, Bieniasz Mokrowąs...

Królowa z radości się nie posiadała... Wielu z panów dopiero przybycie Czechów i wyrażone przez nich mocne postanowienie utrzymania na tronie Kaźmirza, nawróciło. Biskup trwał w umiarkowanym oporze.

Znano jego niechęć dla zarażonych hussytyzmem Czechów, obawę, aby się herezye nie zagnieździły w Polsce...

Panowie Rady rozdzieleni w zdaniach, nie chcieli nic stanowić. Biskup nalegał, aby zwołać zjazd w nowem mieście Korczynie, i to co cały kraj w wojnę wciągnąć miało, poddać wyrokowi większości...

Zjazd został na św. Floryan naznaczony.

Dobrze wprzód, nim dzień ten nadszedł, królowa Grzegorza z Sanoka zamówiła, aby się na nim znajdował.

Znała go już zbyt dobrze, aby się po nim śmiałego wystąpienia spodziewać mogła... Spełniał jej rozkazy, nie tając tego przed nią, iż duszą nie był za temi łowami na królestwa... Ale w nim, mimo to, miała wiernego i rozumnego sługę. Patrzył, słuchał, radził i choć zimnym się wydawał, pewnym był za to.

– Wy mojej sprawy nie bierzecie do serca, ani mojej ani dzieci – mówiła przed odprawieniem go do Korczyna.

– Miłościwa pani! Na to potrzebaby, abym jasno widział, iż to, czego dziś się pragnie, jest istotnie z dobrem waszem i syna – spokojnie rzekł Grzegorz. – Jam ślepy, czy też nieudolny, ale nie widzę...

– Korona nie zdaje się wam pożądaną? – przerwała królowa.

Nie rozprawiając już z nim, bo go przekonać nie mogła, królowa zwróciła rozmowę i dała mu tylko instrukcje, co miał czynić.

– Jestem prawie pewną wygranej – rzekła – choć biskup przeciwko mnie będzie. Jeżeli bym się jednak zawiodła, baczcie!! i natychmiast przybądźcie dać mi znać. Znajdę środki...

Przed Grzegorzem, choć tak ostygłym, nie tała się z niczem Sonka. Lice jej pałało.

– Jeśli koronę odrzuca! tak jest, znajdę środki, aby jej Kaźmirz nie postradał?? Wojsko, ludzi, ochotników... Nie mogą mi zabronić popierania sprawy syna!!

Sprzeciwiać się królowej nie śmiał Grzegorz... Nazajutrz, z pewnym niesmakiem, wyruszył do Korczyna...

Zabiegi królowej, pomimo oporu Oleśnickiego i książąt mazowieckich, wezwanych na zjazd, a oprócz tego wielu umiarkowańszych i niedających się złudzić blaskiem korony, zwyciężyły ostatecznie...

Większość była za przyjęciem ofiary Czechów, a Oleśnicki oświadczywszy się ze zdaniem przeciwnym, w końcu uległ i przystał na to, co większość postanowiła...

Z tą radosną nowiną wyprzedzając wszystkich, wrócił do Krakowa Grzegorz z Sanoka i przyniósł ją rozpromienionej pani...

Zwyciężyła!! Kaźmirz więc miał włożyć koronę na skronie!!

Posłowie do Czech byli jakby wyznaczeni. Musieli nimi być ci, co z królową razem trzymali i pożąдали czeskiej korony...

Sędziwój Ostroróg i Jan z Tęczyna wyruszali do Pragi...

Niespoczywająca na chwilę królowa, teraz już dniem i nocą zajmowała się zebraniem ludzi, wojska dla syna. Bez niego nie mógł ani się utrzymać, ani nawet wniknąć do swojego nowego królestwa.

Co może miłość macierzyńska i pragnienie zdobycia potęgi, okazała królowa, zmuszona sama starać się o wszystko, ludzi wybierać i jednać, a naostatek wszystko co miała oddawać, sypać, płacąc zaciągi, uzbrojenia i pułki...

Nigdy w Polsce nadzieja wojny i walki nie była odpychana, owszem jak zawsze tak i teraz, miała dla wielu ponętę, urok, ciągnęła ich...

Wybrani przez królowę dowódcy, mieli trudność tylko w wyborze. Gromadami przybywała szlachta z różnych ziem prosząc się pod chorągwie, ale pomiędzy nią trzeba było surowy wybór czynić... A choć połowa tych stręczących się rycerzy bez hełmów i broni, lub bez koni nawet i oręża, musiała powracać do domów nieprzyjęta, pomimo to znalazły się tysiące na wyprawę do Czech...

Rodziła się wątpliwość, czy trzynastoletni królewicz miał wprost sam osobą swą iść i zyskiwać sobie serca młodością i miłością, jaką ona obudza...

Tu, królowa nawet zachwiała się... Kaźmirz był gotów, Władysław rwał się, ale go nie puszczono stanowczo, panowie Rady nie chcieli nawet dozwolnić jechać królewiczowi. Tylko dowódcy tego oddziału, który był do Czech przeznaczony, pragnęli mieć z sobą obranego króla jako chorągiew...

Nie było najmniejszej wątpliwości, że do walki przyjsć musiało. Możnaż było na jej niepewne losy narażać wyrostka?

Były dnie, że królowa stawiała się matką, cisnęła do piersi Kaźmirza i dać go nie chciała. Przychodziły potem inne, gdy blask korony ją onieczulał i zaślepiał, gotową była puścić syna.

Zwyciężyła w końcu matka nad królową i Kaźmirz do Czech nie poszedł...

W jego miejscu, wrzący chęcią boju Władysław, który już dościsnął pełnoletności, chciał sam iść wojować... Jednomyślnie się temu sprzeciwiono...

Niepokój był i wyczekiwanie na zamku krakowskim, gdy po upływie kilku miesięcy Grzegorz z Sanoka ujrzał jednego dnia wchodzącego do swej komory, w której pracował nad ulubionym poematem, człowieka zupełnie mu nieznanego.

Był to mężczyzna lat już czterdziestu kilku, z postawy wnosząc dworak i człowiek dostojny. Ubiór skromny, był ze smakiem i pewną wytwornością dobrany do twarzy i postaci. Twarz całkiem

nieznana, głos, gdy się odezwał, również nic mu nieprzypominający, przywitanie pierwsze uczyniły chłodnem. Nieznajomy nie mówił nazwiska swego i uśmiechał się dziwnie.

– Mistrzu Grzegorzu – odezwał się do niego – czy pamiętacie jeszcze młodsze lata wasze i wędrówki po Niemczech?

Wszakże się nie mylę, podróżowaliście wiele?

– Tak – odparł Grzegorz, któremu to przypomnienie lat młodszych było przyjemnem – podróżowałem jako jeden z vagantów, *per pedes apostolorum*.

– Przypomnicie więc sobie może wasz pobyt w Heidelbergu? – dodał nieznajomy.

Mistrz popatrzył z uwagą wielką na mówiącego.

– Lauen? – zawołał podając rękę. – Nieprawdaż?

Nieznajomy obie ręce ku niemu wyciągnął.

– Tak! Lauen – rzekł z pewnem wzruszeniem. – Nie poznaliście ranie zrazu, a i ja, gdybym nie wiedział kogo mam przed sobą, nie domyśliłbym się w poważnym duchownym, wesołego młodzieńca, który tak cudnym głosem pieśni Beanów śpiewał.

– Przeszły te czasy! – westchnął mistrz – pieśni się zapomniały, smutek duszę ogarnął.

Siedli przy sobie.

– Lecz zkądże wy tutaj! – począł gospodarz. – Widzę żeście w świeckim stanie zostali, co was tu do Polski przygnało?

Zapytanie to zdawało się nieco kłopotać przybyłego, chociaż powinien był do niego być przygotowanym.

– Jestem... w podróży na Szląsko, dokąd mnie moje familijne powołują sprawy. Rodzina mojej matki ma tam posiadłości. Dowiedziałem się o was w Krakowie i umyślnie się zatrzymałem, aby z wami dawne dobre czasy przypomnieć...

– Jakież stan obrałeś sobie? – wtrącił Grzegorz.

– Służyłem dworsko przy cesarzu Zygmuncie – mówił Lauen – a teraz liczę się już tylko do orszaku króla Albrechta, chociaż żadnych nie pełnię obowiązków.

Mówiąc to nieco oczy spuszczał i rumienił się, wąsy pokręcał, bąkał jakoś nieśmiało.

– Mówiono mi – dodał – że wy stanowisko zaszczytne zajmujecie przy młodym królu. Do tej pory jużbyście zaprawdę powinni byli dobić się bardzo wysokiego dostojęństwa.

– Nie pragnę go!! – żywo przerwał Grzegorz – wierz mi, że pokój i pracę nad księgami nad wszystko przenoszę.

Zmuszono mnie przy młodym królu być na usługach, lecz jest to służba nieoznaczona, nieciężka i ledwie na to nazwanie zasługująca. Tem lepiej.

– Król wasz młodziuchny, wytrawniejszych mężów rada mu potrzebna – odezwał się Lauen.

Postrzeżenie to Grzegorz milczeniem zbył, zająwszy się gościnnem przyjęciem dawnego znajomego.

Lauen, ubogi szlacheckiego pochodzenia współluczeń, naówczas się do stanu duchownego sposobił. Pewna sympatya i podobieństwo charakterów ich łączyło. Oba lubili poezyą i śpiewy...

Grzegorz treściwie zaczął opowiadać o swoim powrocie do kraju i tem, co go tu spotkało. Starzy przyjaciele patrzyli na się, mówili i pewno znajdowali w sobie wielką zmianę. Czasem który z nich uderzył o dawną nutę wesołą, uśmiechnęli się i wnet poważnieli oba.

– Prawdaż to, – po długim przestanku zagaił Lauen, – że młodszy wasz królewicz do Czech się wybiera przeciw Albrechtowi?

– Wybrano go – rzekł Grzegorz – a korony się nie odrzuca.

– Tak, ale tę wam krwawo zdobywać przyjdzie.

– Zdaje się, że się do tego przygotowują – odpowiedział mistrz – lecz mnie się o te sprawy nie pytajcie, bo mam wstręt do nich i nie rad się mięszam.

– Jednakże codzień się one o wasze uszy obijać muszą? – pytał Lauen.

– Tak, jednym uchem wlatując, a drugim daję im wyjść, aby mi głowy nie zaprzętały – mówił Grzegorz.

Lauen się zdawał namyślać, i rzekł po chwili.

– Mnie one żywiej obchodzą, bom z nauką i książkami zerwał, i stałem się próżniakiem, a bądź co bądź, zięć Zygmunta jest moim panem. Albrecht jest mężem szlachetnym, mielibyście w nim dobrego sprzymierzeńca, a robicie go sobie wrogiem. Jest to człowiek silnej woli, wytrwały i czynny, niełatwo go spożyjecie, a Czech się on nie wyrzecz...

– Wszystko to może być – rzekł Grzegorz – ale u nas ochota do wojny przemogła, wojsko się zbiera i albo już wyciągnęło, jak sądzę, lub wkrótce wyjdzie do Czech.

– Spotka się tam z Albrechtowem – dodał Lauen.

O ile Grzegorz nie okazywał skłonności do rozmowy na ten ton nastrojonej, o tyle przybysz zdawał się ją chcieć w nim utrzymać. Uderzyło to w końcu mistrza.

Godzina i więcej przeszła na takich obojętnych pytaniach i odpowiedziach... Wstał w końcu Lauen i choć nie z wielką chęcią, zabrał się do odwrotu. Pomyślał trochę i siadł znowu.

– Wojna – rzekł – jest zawsze klęską, wy jesteście przy królowej i królu, ja mam przystęp do Albrechta, co byście rzekli, gdybyśmy spróbowali jej zapobiedz?

Poruszył ramionami Grzegorz zdziwiony.

– Nie czuję się do tego powołanym – odpowiedział.

– Mówmy otwarcie – szepnął Lauen. – Zaufać wam mogę. Gdybym ja, przypuścmy był wysłany dla wyrozumienia, czy się jaki środek pojednania i zbliżenia nie znajdzie?

– Musiałbym się z tem odnieść albo do królowej lub do biskupa – rzekł Grzegorz – bo ja tu nie mam ani znaczenia, ni głosu...

– Temu mi się wierzyć nie chce...

– Nie żądam ich – dodał Grzegorz – lecz mielibyście w istocie poselstwo tego rodzaju...

– Poselstwo! nie – rzekł Lauen – lecz gdybym coś uczynił w tej sprawie, ufam, żeby mi król był wdzięczny...

– Nie widzę środka porozumienia się, – odparł mistrz – bez jakiegoś wynagrodzenia, za tę koronę, którą nam naród ofiaruje... Będę z wami również otwartym... Królowa matka jest spragnioną dla synów zdobyczy i podbojów... Nie będę jej sądził, ale o ile ją znam, wiem, że się bez okupu nie wyrzecz nadziei...

– Lecz i ten okup możeby się znalazł – rzekł powoli i mierząc słowa Lauen...

– Jeżeli o pieniądzach mówicie, i wynagrodzeniu niemi – przerwał Grzegorz – wiem, że one nie kuszą.

Lauen milczał w stół patrząc długo... Oba jeszcze wahali się z wywnętrzeniem zupełnym, Niemiec dodał.

– Gdyby wola była do układów, środkiby się znalazły. Popróbowaćby należało.

– Lecz z naszej strony pierwszy krok jest niemożliwy – wtrącił mistrz.

Zachwiały się dalsze w tym przedmiocie rozprawy. Spytany Lauen nie chciał się przyznać, że był wysłanym od Albrechta.

– Ale to bije w oczy – rzekł mu Grzegorz. – Jakkolwiek ja w rzeczy rządowe nie wdaję się i nie rozumiem na nich... odgaduję żeście tu, do mnie, nie dla odświeżenia wspomnień Heidelbergskich przybyli.

Lauen śmiać się zaczął sucho.

– Sądz sobie jak chcesz! – zawołał – przyznać musisz, że niema w tem nic zdrożnego iść z gałęzią oliwną i być zwiastunem możliwego pokoju...

– Lecz jestże on możliwy?...

Naciśnięty raz jeszcze Lauen się rozpiął nareszcie.

– Cóżbyście powiedzieli na to, gdyby zamiast jednej korony dzisiaj, dwie się wam zapewniło w przyszłości. Jest to myśl moja. Król Albrecht syna nie ma, tylko dwie córki, spodziewa się wprawdzie

jeszcze... ale najpodobniej córka to będzie znowu. Dla dwu starszych Władysław i Kaźmirz byłiby mężami pożądanymi... a po nich Czechy i Węgry wzięliby bez krwi przelewu.

Grzegorz słuchał z uwagą. Myśl ta uderzyła go silnie, znajdował ją szczęśliwą, wielką.

– Albrecht by się zgodził na to? – zapytał.

– Tak sędzę – mówił Lauen – pod pewnymi warunkami. Żądałby zapewne od przyszłych zięciów sojuszu i pomocy...

Mistrzowi im więcej rozważał to, więcej się podobał pomysł Lauena, a raczej plan, z którym był wysłany, gdyż nie można było wątpić, iż tego z siebie wysnuć nie mógł.

Podał rękę Niemcowi z wyrazem radości i przejęcia, których nie taił.

– Myśl jest wielka, piękna, szlachetna – rzekł – nie wiem i wątpię, czy ją zdołamy przyprowadzić do skutku, ale dla niej ważyć coś warto... Zatrzymaj się tu, spróbuję.

Nie będą jednak taił przed tobą – dołożył – że przywiezienie jej tutaj, w chwili gdy wojska nasze do Czech wychodzą, zdradza, że się nas obawiacie... Jeżeli to uderzy innych jak mnie!

Lauen się zmieszał...

– Cóż pocniemy? – zapytał.

– Myśl ta od was by wychodzić nie powinna – dodał Grzegorz...

– Poddajcie ją sami...

– Nie mam ani powodu, ni podstawy... Z tem wszystkim – odezwał się mistrz po namyśle – pozostanie tu, dajcie mi czas, uśmiecha mi się... będę ważył i próbował...

Podali sobie ręce...

– Tak – rzekł Lauen wzdychając – nie mylisz się, potrzebujemy nie tylko pokoju ale posiłków. Turcy nam zagrażają, Czechy się burzą. Nóż mamy na gardle.

– Idź do gospody – odparł Grzegorz – i milcz...

Rozstali się tak, a mistrz cały przejęty przywiezioną sojusz nadzieją, natychmiast się udał do królowej.

Zanadto jednak pochlebiał sobie, sądząc się zdolnym do przebiegłego poprowadzenia tego, co mu serce poruszało.

Przy wieczerzy, do której królowa matka, król, Kaźmirz młody, kanclerz i kilku starszych urzędników dworu zasiadło, nie licząc młodzieży rówieśnej, bez której Władysław obejść się nie mógł, zaczęto mówić o wyprawie do Czech.

Grzegorz przybrał wesołą twarz i począł mówić, jakby dworując, żartobliwie.

– Miłościwa pani! po co by to nam ta wojna i zapasy. Ot, król Albrecht ma dwie córki, a u nas jest dwu młodzieńców, posłaćby w swaty, razem z oblubienicami dwie korony by przyszły!!

Królowa Sonka zadumała się trochę.

– Tak, nie byłoby to złem, ale córki młode, i oni młodzi, nimby do małżeństwa przyszło, długo czekać potrzeba... a wszelkie kontrakty i poręki niewiele ważą.

Zresztą niewiadomo czy Albrecht by zgodził się na to...

Grzegorzowi wyrwało się nieopatrznie.

– Tak pewnym tego jestem, że gardłobym stawił.

Zdradził się temi słowy, postrzegł to sam, chciał poprawić, zawikłał.

Wszyscy nań patrzeli zdziwieni, królowa matka, która o królestwach dla synów roiła tylko, natychmiast po wieczerzy pozwała danym znakiem Grzegorza do siebie. Nastąpiła na niego, iż mówić nie mógł napróżno przy wieczerzy z taką pewnością o córkach Albrechta, gdyby myśli mu tej ktoś nie poddał.

Mimo całego swego rozumu, nieumiejący kłamać mistrz, brzydzący się drogami pokątnymi, przyznał się w końcu królowej, że pomysł ten w istocie nie wyszedł z niego, ale dawny towarzysz i znajomy z Niemiec, w rozmowie mu go na wiatr rzucił.

Królowa nacisnęła gwałtownie, dowiadując się o owego Niemca, i dobyła z Grzegorza, iż się jeszcze w Krakowie znajdował.

Z żywością, która się w niej objawiała, gdy o synów chodziło i o zabiegi dla nich, mogące zdumieć biskupa, a dowieść mu jak Sonka umiała chodzić około ich przyszłości, nakazała Grzegorzowi, aby Lauena nazajutrz do niej przyprowadził.

Poleciła mu tajemnicę jak największą. Odgadywała łatwo, iż to był wysłaniec Albrechta, a obawiała się, aby on z kim innym o tem jak z nią nie mówił, była zazdrośną. Nie chciała się dać wyprzedzić.

Im większą stawiała się potęga Zbigniewa biskupa, tem ją goręcej chciała przeciwważyć wielką zabiegiowością swoją i niezmordowanemi staraniami.

Lauen zapewniwszy się, że sam będzie u królowej, poprowadzony bocznemi przejściami, znalazł się wobec natarczywej, badającej niemiłosiernie, wyzywającej na słowa królowej. Nie zdradził się jednak więcej niż chciał. Nie miał zdolności Grzegorza z Sanoka, ale przebiegłości daleko więcej od niego.

Mistrzowi potem poleciła królowa rozmówienie się bliższe z Lauenem... Myśl nie została odrzuconą. Dwie korony w miejscu jednej zachwiały macierzyńskiem sercem. Spełniłyby się w ten sposób jej marzenia i przepowiednie.

Stanęło na tem, aby posłowie do układów wyprawieni byli z Lauenem do króla Albrechta. Nikt o tem wiedzieć nie miał.

Wyprawić wszakże poselstwa nie można było bez wiedzy biskupa... Poza plecami jego, królowa wszystko mogła przygotowywać, ale bez niego dokonać nic nie godziło się jej, aby nie narazić męża tak wielkiego znaczenia i przewagi.

Biskup daleko radośniej przyjął wiadomość o projekcie, niż wybór Kaźmirza, któremu dotąd był przeciwny. Chętnie się godził na układy, na sojusz, na danie posiłków, byle Polska sama od wojny była wolną.

– Błogosławiona myśl – rzekł – jeżeli nie jest na to rzuconą, aby dać czas Albrechtowi, gdy my układać się będziemy, dopełnić koronacyi w Pradze i zniszczyć znaczenie wyboru...

Odgadł biskup przenikliwy, gdyż układy się przeciągnęły, spełzły na niczem, i Kaźmirz pozostał w domu, a wysłane wojska daremną odbyły nie bez strat wyprawę...

Wśród tych starań, których niepowodzenie królowej nie zrażało, gdyż zaledwie jedno spełzło na niczem, natychmiast rozpoczynała nowe jakieś zabiegi, czas upływał rączo...

Nadszedł rok 1439...

Wiedziano w Krakowie, iż król Albrecht z Turkami staczał boje, które mu się nie szczęściły, gdy do królowej nadbiegł z Węgier poseł, oznajmujący jej, że w odwrocie z pod Smiderowa w Rascyi (Serbii), Albrecht nagle zachorawszy umarł...

Pozostawała po nim młoda jeszcze żona Elża, dwie córki, nadzieja trzeciego potomka, i na głowie słabej niewiasty, osieroconej, przerażonej, losy dwóch królestw, z których jedno zagrożone było potęgą pogan.

Prawie jednocześnie Turcy, którzy zamierzali rzucić się na Węgry, ślali posłów do Polski, ofiarując jej przymierze.

Wszystko to spadło nagle, niespodzianie jak grom; ale dla królowej było błyskiem, w którym ona wielką przyszłość dla synów ujrzała.

Utrzymywała zawsze Sonka stosunki na Węgrzech, jak gdyby przeczuwała, że one jej posłużą do wyniesienia na tron jednego z synów...

Zaledwie poseł z nad Dunaju nadbiegł do Krakowa, gdy ztąd już wierni królowej słudzy lecieli na Węgry...

Spełzły wybór Kaźmirza w Czechach, potrzeba było powetować w Budzie. Węgrzy musieli mieć króla i wodza, mogliż znaleźć dzielniejszego nad tego młodego rycerza, chciwego walk, który im z sobą mógł przyprowadzić zastępy polskie, potomków owego Zawiszy, którego imię brzmiało jako bohatera...

Królowa nie tała przed biskupem, iż pragnęła i starała się o to gorąco, ażeby Władysław w Budzie królem Węgów był obrany.

Zdania się dzieliły, lękano ściągnąć wojnę, wziąć nowe brzemie, ale tu nęciło tak wszystko, a Władysław król młody sam z taką niepohamowaną żądzą boju wyrwał się na obronę chrześcijaństwa, iż panowie nie śmieli go powstrzymywać.

A matka przyciskała go do piersi i powtarzała: Idź i walcz!!

Młodzież otaczająca, starzy rycerze, tysiące ludzi, którym wyprawy dalekie się śmiały, upojeni byli tą nadzieją, że pójda wojować z pogany...

Wielka większość przejęta była tym duchem, a starsi panowie Rady z chłodnym rozumem, rachubą i rozważą, prawie się odzywać nie śmieli.

Nikt też królowej nie mógł przeszkodzić do starania się o wybór Władysława, a gdyby nawet jawnie się sprzeciwiano, miała tysiące środków skrytego działania.

Ludzie, pieniądze, listy, obietnice, wszystko teraz płynęło na Węgry...

Królowa matka, po niewieściemu widząc jedyną przeszkodę we wdowie po Albrechcie, gotową była zamiast z jej córką, ożenić z nią samą Władysława...

Elża miała lat trzydzieści, król zaledwie połowę jej wieku, lecz jeśli małżeństwo z Barbarą uznała możliwem, dlaczegóż po wnuczce jej córka nie mogła z kolei być zaswatana??

Wszystko to roztrząsało się gorączkowo, pospiesznie, a dla Sonki nie było ofiary, na którąby się dla korony tej nie ważyła...

Nikt nie śmiał się jej sprzeciwiać, milczano. Znaczna też część panów pochwycona tym prądem, zaślepiała się na następstwa...

Młody król byleby mógł iść wojować, gotów był wszystko poświęcić...

On, dwór jego, mnodzy pochlebcy, całemi dniami zbroili się w myśli, próbowali oręża, rozprawiali o Turkach i ich sposobie wojowania...

Właśnie też poselstwo ich do Krakowa zdążyło...

Dla biskupa była to chwila trudna, bo jako duchowny wszelkiemu sojuszowi z niewiernymi przeciwnym być musiał, a jako kierownik spraw narodu, w duszy znajdował go może pożyteczniejszym, niż wplątanie się w wielką i groźną wojnę...

Ale tu obowiązki względem zagrożonego chrześcijaństwa musiały brać górę nad interesem Polski. Papież, Paleolog, Włochy, słowiańskie ludy najechane i ujarzmione wołały o ratunek...

Biskup Zbigniew zamilknąć musiał. Gotowała się wojna święta, krucyata nowa.

Czekano z Budy wieści z niecierpliwością wielką, nie odprawiając posłów tureckich i trzymając ich z odpowiedzią w zawieszeniu...

Świadek mimowolny tego zaprzątienia, wśród którego nikomu niewolno było obojętnym się okazać, Grzegorz z Sanoka pozostał widzem raczej niż czynnym współpracownikiem w robotach, do których nie czuł powołania.

Zapał z jakim Władysław wybierał się już na Węgry w nadziei wojny, troskliwą o niego matkę, zaczynał trwożyć w końcu. Chłód Grzegorza, jego rozważa we wszystkim, zdawały się jej właśnie najstosowniejzemi u boku młodego zapaleńca. Z góry więc już postanowionem było, że mistrz jako kapelan i spowiednik z Władysławem na Węgry pojedzie.

Jeszcze wiadomość o elekcyi nie doszła do Krakowa, gdy ze smutnem w duszy przecuciem poszedł Grzegorz odwiedzić Balcerów.

Sprawa monety szczęśliwie została zatartą ustępstwami, Hocz wyrobiwszy sobie wziętość u mieszczan, spodziewał się zająć miejsce na Ratuszu... Balcerowie byli spokojni... Tu życie płynęło jednostajnie, niekiedy tylko odwiedzinami Grzegorza uprzyjemniane dla pani Frączkowej. Gniewała się ona na przyjaciela młodości, iż niedosyć często do nich zachodził, ale królewski towarzysz nie był panem swojego czasu.

Nie podobało się jej i to, że dawniej wesoły śpiewak smutniejszym był coraz i w sobie pogrążonym. Nie mógł się on na los swój uskarżać, obsypywano go łaskami, nie zbywało mu na niczem, a jednak smutek coraz czarniejszy na zwiędłej malował się twarzy.

Na zapytanie Frączkowej, która zwykle od tego poczyniała, iż go badała o ten smutek, mistrz odpowiedział teraz jak zawsze...

– Widzicie jejmość moja, gdy kto z drogi zboczy, do której był urodzony i przeznaczony, koniec jest zawsze taki. On z ludzi a ludzie niekontenci z niego.

– O jakiejże to drodze mówicie? – zagadnęła Frączkowa.

– Do dworu i jego płatanin nie byłem stworzony, ale do ksiąg, papieru i spokojnej celi – mówił Grzegorz. – Tymczasem wszystko zwiastuje, iż się z tego ukropu nie zdołam wyrwać, a jeżeli Władysław zostanie królem na Węgrzech obrany, i ja będę musiał z nim do obcego kraju, do obozu, na wojnę...

Frączkowa westchnęła.

– Może go też nie obiorą!

– Zaprawdę wybranym będzie – przerwał Grzegorz – już dlatego, że królowa tam ma i wielkimi obietnicami jedna przyjaciół, już że to dla nich pożyteczna, a w końcu, że mnie niemiła...

Rzucić więc przyjdzie kochany Kraków, do którego czy powrócimy, Bóg jeden wie; a co nas tam czeka!!

Frączkowa łzy też miała w oczach...

– Uwolnijcie się od tego dworu – szepnęła.

– Sumienie nie pozwala – rzekł Grzegorz – królowej winienem wiele, a ona mnie tam widzieć chce... Czuję sam, iż niedoświadczonemu panu będę pomocą... iść więc muszę!!

– Króla jeszcze nie obrano?

– Toczą się w Budzie narady, lecz lada chwila przybiegnie goniec niosący koronę...

Nie mylił się mistrz. Powracając do zamku, spotkał w ulicach dworzanina królowej, który Węgrów wyprzedzając na zziąjanym koniu, wszedł we wrota z wieścią pożądaną...

– Władysława w Budzie okrzyknięto królem Węgier! Miał zaślubić wdowę po Albrechcie.

III

Wesoło, huczno obchodzono święta Bożego Narodzenia w Krakowie... Królowa Sonka odmłodziła, wszystko zdawało się skończonem szczęśliwie.

Oczekiwano tylko uroczystego z Budy poselstwa. Wdowa po Albrechcie zgadzała się, przynajmniej pozornie, na poślubienie Władysława...

Wiedziano o niej, że była trzydziestoletnią niewiastą, lecz królowa utrzymywała, co potwierdzali ci, którzy ją dawniej widzieli, że córka cesarzowej Barbary była jeszcze wdzięczną i urodziwą, a nadewszystko urokiem mowy i oczu, obeiściem się z ludźmi umiejącą ich jednać sobie.

Wzięła po matce nie zalotność, którą tamta słynęła, ale przebiegłość, zręczność i dumę po ojcu. Królowa Sonka cieszyła się tą przyszlą synową, wdzięczną jej będąc za to, że się na małżeństwo zgodziła...

Nie mogło ono jednak wprzód przyjsć do skutku, aż po spodziewanej słabości, od której zależało wiele... Pogrobowy potomek Albrechta mógł być synem. Ale o tem królowa matka mówić nawet i przypuszczać nie dozwalała, boby oderwał Czechy i zachwiał może wyborem...

Ci co z Węgier przybywali, nim poselstwo pospieszyło, co innego opowiadali przed królową, inaczej szeptali po cichu.

Głośno zaręczano, że Elżka szła z ochotą za młodego króla, potajemnie powtarzano co Węgrzy mówili, iż łzami oblewała zapowiedź małżeństwa, od którego chciała się jakimbądź sposobem uchronić.

Dla dzieci tylko zmuszoną była poświęcić siebie.

Władysławowi matka starała się wmówić, iż małżeństwo to będzie szczęśliwem, a młody król wcale o niem nie myślał. Zajęty był wojną, rycerstwem, większą swobodą, na którą się miał wyrwać, dotąd krępowany nawykniem posłuszeństwa matce i biskupowi...

Uśmiechało mu się w towarzystwie młodych swych przyjaciół wyrwać w świat i pełną piersią oddychać... Zawczasu biskup Zbigniew zapowiadał, że króla na Węgry odprowadzi, ale tam miał już on sam pozostać...

Około zapust na ostatek ściągnęło wspaniałe poselstwo węgierskie, na którego czele jechał Jan biskup Segedynu, Talosz ban sławoński, Emeryk Marceli marszałek dworu, i wielu innych magnatów.

Na spotkanie świetnego orszaku, wyjechał w imieniu brata Kaźmirz, z duchowieństwem i panami, a choć pora była resztkami zimy nachmurzona, z obu stron wesołość i ochocze bratanie się, kazały o tem zapomnieć. Stroje i uzbrojenia Węgrów, kilkunastu młodzieży, której przewodził Michał Orszag, pięknej i bogato przybranej, ściągały oczy ciekawych tłumów.

Grzegorz z Sanoka, który wśród dworu królewskiego wybitnego nie zajmował stanowiska, bo go nie pożądał, unikał ściągnięcia na siebie uwagi, mógł się tem lepiej i swobodniej przypatrywać wszystkiemu, szczególnie zaś wrażeniom młodego króla, który poczyniał być dla niego zagadką.

W życiu Władysława przychodziła chwila przełomu, ochota wyzwolenia. Nie czuł się na siłach może do zupełnie samoistnego występowania, ale pragnął nareście mieć wolę swoją.

Zaledwie piętnastoletni, dojrzałym był daleko niż zwykle młodzieńcy bywają w tym wieku. Samo wychowanie pieczołowite rozwinęło go szybciej, a w tym roku osiągnięta pełnoletniość, złożona przysięga, czyniły go z prawa niezależnym.

Nic dziwnego, że korzystałby był chciał z tego. Lecz wszelkie pokuszenia się, to matka, to biskup starym zwyczajem odtrącali i unieważniali.

W młodym panu rodziło to chętkę oporu, i pewną niecierpliwość. Przybycie posłów pochlebiało dumie z początku, po kilku dniach pobytu ich, gdy się rozszuchał i rozpatrzył król, choć nie dawał tego znać po sobie, zdawało się Grzegorzowi z Sanoka, że dojrzał w jego twarzy jakiegoś zafrasowania i zniechęcenia.

Młodzi Tarnowscy, młody Tęczyński, którzy z Węgrami mogli otwarciej się rozmówić, biesiadować i dowiedzieć czegoś więcej nad urzędowe ich sprawozdanie, donosili królowi co słyszeli. Mniej świetne strony tego panowania na Węgrzech powoli występowały...

W kilka dni po posłuchaniu, Grzegorz z Sanoka znajdował się przy królu na pokojach, a po rozejściu się znaczniejszej części gości zamkowych, pozostał z nim i Ryterskim marszałkiem dworu, a nieodstępni prawie towarzyszami królewskimi Mikołajem Strzegomią Chrzastowskim i Nekandą z Sieciechowa.

Rozmowa toczyła się teraz prawie ciągle o przyszłej podróży na Węgry, do której czyniono przygotowania... Król więcej słuchał niż mówił. Czasami, gdy mowa była o Turkach i wojowaniu przeciw poganom, rozgrzewał się nieco i okazywał ochotę ciągnięcia, lecz po namyśle posepniał i milczał.

Z tych co z królem byli, pozostał naostatek tylko marszałek dworu Ryterski, ten sam którego niegdyś młodemu synowi Jagiełły kraj wyznaczył jako dozorcę i nauczyciela.

Król z nim był poufale i serdecznie, lecz Ryterski, oprócz dobroci serca i miłości dla pana nie odznaczał się niczem, a najmniej umysłem przenikliwym. Z kolei słuchał królowej matki i biskupa, i spełniał ich wolę. Własnego nie miał zdania.

Pod pozorem jakimś Władysław odesłał marszałka, chciał i Grzegorz z Sanoka odchodzić, bo godzina była spóźniona, król dał mu znak aby pozostał.

Byli sami, Władysław, jakby się zbierał coś powiedzieć mistrzowi, przeszedł się pary razy po izbie.

Widać było, że walczył z własną nieśmiałością, którą chciał pokonać.

– Wy mi sprzyjacie? wy mi dobrze życzycie? – zawołał stając naprzeciw Grzegorza i rękę ku niemu wyciągając – nieprawdaż?

– Miłościwy panie!! – odezwał się jakby z wyrzutem mistrz.

– Ja wierzę w to – rzekł pospiesznie Władysław – i ufam wielkiemu rozumowi waszemu. Jestem w niepewności wielkiej i rozterce sam z sobą. Na wojnę radbym z duszy, ale na to królestwo węgierskie?!

Popatrzył na Grzegorza.

– Każą mi się żenić z Elżką, któraby matką moją być mogła – dodał król – z kobietą, która, wiem to, wcale mnie nie chce... Dwoje dzieci! trzeciego się spodziewa!!

Ale ja nie chcę i nie myślę się żenić, ja chcę wprzód zdobyć sobie imię i sławę, ja mam moje królestwo, i innego nie pożądam!!

Część Węgrów jest za mną, to prawda, ale wpływowy i przewagę tam mający Dyonizy kardynał biskup Ostryhomski, ban kroacki Gara, Jan Secz i Ulryk Cilly, są przeciwko mnie... Tej korony ja się będę musiał dobijać, przeciwko kobiecie i sierotom!!

Zamilkł patrząc na Grzegorza, który znalazł się w przykrem położeniu. To co mówił król, on też myślał, ale królowa i biskup Zbyszek nawet, sądzili inaczej.

Królowa pragnęła gorąco korony tej dla syna, biskup widział we Władysławie obrońcę chrześcijaństwa, a może i nie gniewał się za to, że podczas niebytności króla, on sam królestwem rządzić będzie. Nawyknienie do rozporządzania wszystkiem, do dzierżenia i używania władzy, czyniło go jej żądnym.

Grzegorzowi nie wypadało, na tę niespodzianą objawioną niechęć króla, odpowiedzieć potakiwaniem. Lękał się... Z tem wszystkiem była to rzecz sumienia, a on nie należał do ludzi, co by z nim wchodzili w układy.

Rzekł więc po krótkim namyśle.

– Miłościwy panie... ja wcale temu co mówicie nie przeciwię się – ale, jeżeli takie wątpliwości wam przychodzą, czemu ich nie objawicie otwarcie królowej i biskupowi?

– Znajdujesz więc, że mogę mieć słuszość! – zagadnął król zwracając się ku niemu, pilno a natarczywie patrząc mu w oczy.

– Tak, są to słuszne przyczyny – odparł Grzegorz. – Ja, który na sprawach państw nie znam się i sędzę je po ludzku, powiedziałbym toż samo; ale ci co patrzą z góry, co interes krajów więcej ważą niż uczucia ludzkie, sądzą inaczej.

Z niecierpiwością jakąś król dodał poufałej.

– Powiadam ci, chce mi się dusznie na wojnę, ale serdecznie mi się nie chce być tym królem z łaski kobiety i ze szkodą jej dzieci... A jeżeli królowa następcę męskiego na świat wyda??

Grzegorz milcząco skłonił głowę.

– Pamiętać jednak potrzeba o tem – rzekł – że ani wdowa, ani niemowlę, ani Cilly z kardynałem nie obronią Węgier od napaści tureckiej, że tam potrzeba dzielnego rycerza a z nim rycerstwa, bo inaczej nie Węgry same, ale świat chrześcijański będzie zagrożony... Obok tej wielkiej sprawy ocalenia wiary... cóż znaczą inne? – co znaczy małżeństwo! osobiste względy i... ofiara?...

Władysław westchnął.

– Oni mi też to mówią ciągle – dodał król. – Lecz cóż przeszkadza, abym ja z rycerstwem polskiem poszedł w obronie krzyża, nie wiążąc się z tą kobietą??...

– Miłościwy panie – przerwał Grzegorz, któremu ta rozmowa ciążyła. – Mówicie po rycersku, czujecie szlachetnie, miejcie odwagę otwarcie to powiedzieć...

Zmieształ się nieco młody pan.

– Mój Grzegorzu – rzekł – ja jestem młody. Ty wiesz najlepiej, oni – matka, biskup i wszyscy mają mnie za młodszego jeszcze niż jestem... za dziecko. Królowa mi mówić nie da, a biskup zwać nie będzie na to co powiem.

– Tak – odezwał się Grzegorz – raz pierwszy gdy to posłyszają, mogą lekceważyć, lecz obstając przy swoim, zmusicie, aby zdanie wasze poszanowano...

Tymczasem korona już tak jak przyjęta jest, posłowie się tem cieszą, trudno będzie się cofnąć.

– Nie! nie! – rzekł namarszczony Władysław – ja się żenić z nią nie chcę... Pójdę, będę z Turkami wojować, będę im służyć rycersko, ale, tobie to powiadam tylko, jeżeli ożenienie będzie do korony warunkiem, żenić się nie chcę! nie mogę!! nie ożenię!!

Coraz gwałtowniej mówił pod koniec król, i jakby się sam uląkł swojej śmiałości i otwartości, zbliżył się do Grzegorza, na ramionach mu ręce położył, i dodał.

– Chciałem mówić z tobą, nie zdradzajcie mnie!! Widzę i czuję, że ty to tak czujesz i rozumiesz jak ja?

Wydartej dziecku i kobiecie korony nie chcę...

Na Węgry pojedziemy! ale tam znajdę sposób uniknięcia małżeństwa i przywłaszczenia!

Szlachetne te uczucia młodego pana, taką radością napełniły mistrza, iż ukryć jej nie umiał. Spojrzeniem jednym Władysław mógł się przekonać, że Grzegorz podzielał jego myśli, że je pochwalał. To mu dodało odwagi i czoło się wyjaśniło.

– Tak – powtórzył król. – Nieuniknioną już zdaje się podróż na Węgry... Posłowie pojechali do królowej... czekamy tylko ich powrotu. Biskup się oparł zawieraniu traktatu z Turkami... Ojciec św., cesarz Paleolog... Włosi nalegają, pójdziemy bronić chrześcijaństwa...

I wy ze mną? – dołożył pospiesznie w końcu.

– Na cóż się ja tam przydam? – wtrącił mistrz.

– Abyście mnie dodali odwagi, a gdybym uwieść się dozwolił żądzą panowania i dumą, przypomnieli mi te słowa moje...

Zaledwie dokończywszy tego poważnego wynurzenia się, Władysław jak gdyby mu ciężar wielki spadł z piersi, zwrócił się do swoich ulubionych marzeń...

– Ze wspaniałym i dzielnym wyruszymy orszakiem – począł. – Tak pięknego, tak uzbrojonego wojska jak nasze, jeszcze Węgry nie widziały... Staramy się o to, abyśmy tam wstydu sobie nie uczynili...

Widzieliście moich przybocznych... moich druhów i towarzyszków! Co to za zastęp żelazny!! Co za konie! rynsztunki, zbroje, rzędy i oręż... A! gorączka mnie porywa, gdy myślą o tem... W pole! w pole!

Uśmiechnął się Grzegorz.

– Widzicie miłośnicy panie, że wyprawa na Węgry uśmiecha się wam i pociąga!

– A! tak – zawołał król nagle smutniejąc – ale gdy pomyślę o ożenieniu, o sierotach, o przekleństwach i złorzeczeniu, które spadną na mnie, wiesz! wyrzekłbym się nawet wyprawy, aby być wolnym od jarzma tego!

Wzdrygnął się młodzieniec...

To pierwsze wylanie się przed Grzegorzem, niespodziane dla niego, otworzyły mu oczy... Inaczej poglądał teraz na swojego wychowańca...

Nie znał go dotąd dobrze, i miał też za dziecko, objawił mu się w nim człowiek...

Pilno potem przypatrywał się mistrz postępowaniu jego z matką i biskupem, lecz dostrzedz w nim nie mógł żadnej zmiany. Zdawało się, że Władysław, śmiały z nim, przed matką i opiekunem tracił odwagę i otwarcie się im nie przyznawał co myślał.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.